

Leokadia Szamatowicz

z d. Służyńska

ul. Kolejowa 16 m. 46.

© ARCHIWUM WSKŁONNE

Urodziłam się w roku 1915-tym. W chwili wybuchu wojny byłam matką dwóch synów. Mieszkaliśmy z mężem w Sztabinie, gdzie mój ojciec zakończył właśnie budowę młyna, własnego i motorowego, co wówczas było nie lada sensacją. W czasie walk wrześniowych Niemcy do Sztabina nie przyszli. Dopiero pod koniec miesiąca wkroczyli tu Rosjanie, nędzne wojsko na zabiedzonych koniach, i przystąpili do zaprowadzania własnych porządków. Męża w tym czasie nie było: zmobilizowany poszedł na front i wkrótce znalazł się w Rumunii. Tam, internowany, trafił do niewoli niemieckiej, przebywał na terenie Niemiec a później Szwajcarii - wrócił do kraju 18-go lutego 1946-go roku.

Nowa władza ochoczo przystąpiła do rozkułaczania zamożniejszych gospodarzy. Mnie z ojcem wezwano do gminy i oznajmiono, że wszystko co dotychczas posiadaliśmy - już do nas nie należy. Mamy to zostawić i iść, dokąd chcemy. Przenieśliśmy się mieszkać do sąsiada, p. Sobotko. Do swojego domu wróciłam dopiero po 22-gim czerwca 1941-go roku tj. po ataku Niemców na Związek Radziecki. Wróciłam jednak tylko z synami, bez ojca. Aresztowano go 4-go kwietnia 1940-go roku. Dokonali tego dwaj Rosjanie i jeden Polak z czerwoną opaską ^{nr} rękawie, ponieważ służył w milicji. Od tego momentu nie wiemy nic pewnego o jego losach. Przez jakiś czas przetrzymywano go w Sztabinie. Później wrócił podobno jakiś Żyd z Augustowa z Rosji z wiadomością, że spotkał mojego ojca w więzieniu w Witebsku. Był w bardzo złym stanie, leżał na podłodze i zapewne niedługo po tym zmarł. Ale to nie jest do końca jasne i pewne.

W połowie 1944-go roku ponownie przyszli Rosjanie i kazali czym prędzej uruchomić młyn. Zdołałam tego dokonać z wielkim wysiłkiem, ponieważ brakowało wielu elementów wyposażenia a w przyfrontowej strefie o wszystko było nadzwyczaj trudno. Męłam zboże na potrzeby Armii Czerwonej i miejscowej ludności. Wbrew pozorom było to zajęcie bardzo niebezpieczne, bo w niedalekim Osowcu stacjonowali Niemcy. Wydawało się, że z Rosjanami znalazłam wspólny język i że sytuacja powoli się stabilizuje. Niestety przyszło nieoczekiwane - 7-go listopada 1944-go roku / dokładnie w 27-mą rocznicę zwycięstwa Rewolucji Październikowej. Do mieszkania przyszli Rosjanie i ni z tego ni z owego kazali oddać broń. Ponieważ jej nie miałam, przeprowadzili rewizję - oczywiście bez rezultatu. W trakcie rewizji znaleźli 3 tysiące rubli, które wcześniej zapłacili mi za mielenie i teraz je oczywiście zabrali. Przy okazji zabrali też złoty zegarek. Wyjechałam ubrana tak jak stałam, w męża pantoflach. Nie wiedziałam, że jadę daleko. Rosjanie zapewniali mnie, że wiozą mnie do gminy. Na podwórku zostali moi dwaj synowie / 9 i 8 lat /. Widząc, że mnie zabrano, pobiegli do babci do odległego o 8 kilometrów Grodziska.

Ze Sztabina przewieziono mnie do wsi Krasnybór / 7 km / i ulokowano w stodole, w której było już wiele osób. Nocą podjechały dwa samochody i zawiozły nas do ~~zwężenia~~ w Białymstoku. Tu pozostawaliśmy przez trzy dni. Następnie przewieziono nas na dworzec poleski i załadowano do bydłych wagonów. Rozpoczęliśmy ponad dwutygodniową podróż do Ostaszkowa. W czasie podróży jedzenie było bardzo słabe. Ponieważ aresztowano mnie nagle i podstępnie, nie miałam nic do jedzenia i ledwie przeżyłam transport.

Obóz w Ostaszkowie był kolonią wielu baraków. W pomieszczeniach stały trzypiętrowe prycze. Nie było światła, wody, natomiast wszelkiego robactwa zatręśnienie. Nie potrafię tego opowiedzieć. Po naszym przyjeździe władze obozowe pytały nas, co umiemy zrobić. Mnie zatrudniono przy robieniu swetrów na drutach. W sąsiedztwie był obóz jeńców niemieckich. Od nich brano swetry dając w zamian waciaki. Naszym zadaniem było te swetry popruć i zrobić nowe żonom rosyjskich oficerów. Pamiętam, robiłam kiedyś sweter żonie pułkownika. Ponieważ konieczne były liczne przymiarki, pułkownik zwalniał mnie do swego domu. Jego żona zawsze mnie nakarmiła prosząc jednocześnie, abym nikomu o tym nie mówiła.

Grupa krawców szyła sukienki żonom oficerów z koszul niemieckich jeńców. Pamiętam, że w tej grupie był białostocki krawiec, p. Szle^{pier}ter z ul. Złotej. W obozie pracował też Wacław Pro-niewski, zatrudniony jako pomocnik na portierni.

Oprócz prac związanych niejako z naszą specjalnością z czasów na wolności zatrudniano nas przy pracach polowych m.in. przy pracach omłotowych i kopaniu kartofli.

W samym obozie my kobiety zajmowałyśmy część odgrodzoną od mężczyzn. W sumie, jak obliczaliśmy, było nas ok. 3-ch tysięcy. W niektórych pomieszczeniach znajdowałyśmy stare napisy, często wycinane scyzorykiem. Była to pamiątka po naszych poprzednikach - polskich wojskowych i policjantach - przywiezionych tu jesienią 1939-go roku, których los, zapewne tragiczny, do dziś nie jest do końca wyjaśniony.

Władze obozowe nie ścigały praktyk religijnych. W czasie świąt Wielkanocnych przybył do nas nawet ksiądz z sąsiedniego obozu. Rosjanie nie tylko że o tym wiedzieli ale udzielili na to swojego zezwolenia.

Cechą szczególną postępowania władz sowieckich była tajemniczość, działania nagłe, niespodziewane, zazwyczaj brutalne, przeprowadzane najczęściej w nocy. Dowodem tego były przygotowania do naszego wyjazdu z Ostaszkowa. Zupełnie nieoczekiwanie, nocą, wypędzono nas z baraków na alejkę i zaczęto dzielić na dwie grupy. Wśród więźniów powstało zrozumiłe zamieszanie: co się stało, dlaczego dzielią, która grupa jest lepsza? Nad tym wszystkim górował płacz i lament, jak to wśród kobiet. Wreszcie grupę, w której ja się znalazłam, zapędzono do oddzielnego baraku i dano kolację, po której wszyscy dostaliśmy ostrej biegunki. To zrodziło plotkę: " chcą nas otruć, eksperymentują!". Po kilku dniach, znów bez słowa zapowiedzi, sformowano z nas kolumnę marszową. Wyszliśmy z obozu i przez okoliczne bagna ruszyliśmy do odległej o trzy kilometry stacji kolejowej. Tu załadowano nas do bydłych wagonów i ruszyliśmy w nieznane. Nagabywani przez nas wartownicy mieli chmurne, kamienne, nieprzeniknione i złe twarze a na każde nasze pytanie mieli zawsze tę samą odpowiedź: "nie znaju". Nie wiedzieliśmy, że jedziemy do Polski. Sądziliśmy, że jesteśmy w drodze do innego obozu. Dopiero po wielu dniach więźniarki mające miejsca przy okienkach pod sufitem odczytały z niemałym zdumieniem nazwę mijanej stacji "Wołkowysk". Przez Brześć transport dotarł do Białej Podlaskiej. W Brześciu siostry PCK, wiedząc kim jesteśmy, wrzuciły nam do wagonu... biały chleb. Po czasie ponieważ nagle biały chleb!

Do Sztabina dotarłam 31-go stycznia 1946-go roku. Wkrótce, jak już mówiłam, 18-go lutego, wrócił z Zachodu mój mąż. Czuliśmy się młodzi, silni radością, że przeżyliśmy wprawdzie straszną wojnę, ale ją przeżyliśmy. Nasi synowie rośli zdrowo. Pozostało

nam jedno²wiąć się do pracy. Znow zaczęliśmy od początku. Do młyna sprowadziliśmy nowe maszyny i po wielu staraniach udało się nam go uruchomić. wielkim wysiłkiem postawiliśmy nowy dom. W latach 1951 i 1955 urodziły się nam dwie córki. Ale jednak - w nowej rzeczywistości - nie byliśmy akceptowani przez nowe władze. Syn trzykrotnie starał się na studia medyczne w Białymstoku i trzykrotnie mu odmówiono. Dopiero za radą kuzyna przeprowadził się do Warszawy i tam dostał się na Akademię Medyczną bez kłopotów.

Szykany nie ustawały. Powodów do przesłuchań było wiele: prywatny młyn, pobyt męża na Zachodzie. Wreszcie, w 1950-tym roku aresztowano go i osadzono w siedzibie augustowskiego Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie wszachwładnie panował osławiony Szostak. Często w nocy stawiał w jednym kącie pokoju mojego męża a w drugim młynarza z Lipska - p. Filonowicza i obu przesłuchiwał. Ciężkie to były chwile.

Ktoś mi poradził zbierać podpisy pod petycją domagającą się zwolnienia męża. Tak też uczyniłam. Ludzie podpisywali chętnie, bo młynarz był potrzebny a mąż miał dobrą opinię. Nazbieraliśmy 400 podpisów, co w warunkach wiejskich jest liczbą imponującą. Odpisali wszyscy sołtysi oraz wójt. Gdy to zniosłam na UB-e, zapalano tam świętym oburzeniem: jak śmiałam zbierać podpisy kwestionujące postanowienia władzy ludowej, kto mi dał takie prawo, kto mi to doradził? W pewnym momencie myślałam, że i mnie posadzą. Ale jakoś do tego nie doszło. Po sześciotygodniowym pobycie w Urzędzie Bezpieczeństwa wrócił wreszcie mój mąż.

Wizje nadal nie ustawały. Wreszcie władze zdecydowały się na działania bardziej stanowcze. w 1953-cim roku młyn nam zabrano i do dziś nie możemy go odzyskać. Dziś to jest już ruina, nadmiernie wyeksploatowana. Mąż nie doczekał zwrotu swojej własności - zmarł 7-go grudnia 1989- roku. Ja, mimo tysięcznych trud-

ności, nadal jestem optymistką.

Po wyrzuceniu nas z młyna mąż pracował w Białymstoku w Spółdzielni Metalowców przy ulicy Ogrodowej. Ja przez 9 lat sprzedawałam w sklepie PSS a następnie - przez 8 lat zajmowałam się chałupnictwem. Obecnie jestem na emeryturze.

Notovce: Staszyn w Białym